

— ...całują się młodzi ludzie, spłoszone gołębie oblatują park. Las jest cały spalony, a drzewa jak wykałaczkę albo sterczące włosy na gigantycznym karku. Dzieci mają kieszenie zamiast oczu. Tyle. Tyle zapamiętałam. Refleksje?

Leżący przekręcił się na bok, chowając głowę pod żółtą poduszką w kwiaty. Emocjonalna ucieczka strusia Emu, o gołej dupie, po której ściekał pot. Tatuaze. Ślady cięć na łopatkach. Wiele historii pisanych w sznytach i chlastach.

Poczekala.

Właśnie skończyli się pieprzyć, a on nie zwykł udawać zainteresowania "zaraz po". Należało dać mu trochę czasu. Paliła więc kolejnego i filowała na wejście znajdujące się po drugiej stronie ulicy. Pokój mieli na piętrze, widok dobry. Sześćdziesiąt pięć doliczając za wyro, mineralną z baniaka w korytarzu i jajecznicę, co nie widziała masła. Kompromis jak w pizdę strzelił.

— Słuchasz mnie?

Nie słuchał, a sądząc po nagłych drgawkach, chwilowo przysnął. Wzięła ze stołu widelec, wycierając jego upieprzone w tłuszczu zęby o firankę. Drobną różnicą w charakterach dodaje tylko w łóżku pikantem, ale kobieta powinna się przecież szanować. Inaczej znacznie szybko dupą oplacać prąd.

— Auuu, kurwa, Rose. Pojebało cię?

Dźgnęła go jeszcze raz, tym razem w udo. W odwecie spróbował kopnąć. W dużym łóżku, co już wiele widziało, zastękały sprężyny.

Wyglądali się tak jeszcze kilka chwil, aż po chyba piątym ukuciu pozwoliła mu się złapać za nadgarstek i...

...nic nigdy nie patrzyło tak czarno, jak on.

Szarpnął naprawdę mocno.

Nie lubiła zadawać "akurat tego" pytania prawie tak bardzo, jak dreptania boso po zimnej podłodze w holu. Mimo tego spytała.

— Na początku trochę jakbym walił konia przez trujący tłuszcz. Potem się rozkręciłaś.

W pokoju było ciemno do tego stopnia, że leżąc, nie miała pewności czy z krzesła zwisają spodnie, czy podkoszulek. Wiedziała tylko, że coś.

— Ale to jeszcze nic — kontynuował, widocznie rozweselony. — Jebanko cacy. Samo spanie natomiast to przeżycie.

Wiedziała, że tylko się droczy. Dzienny gorąc zastąpił wieczorny chłód. Świat wypełniła cisza, dzieląc panowanie po równo z arktycznym chłodem. Wsunęła się głębiej pod kołdrę, myśląc, że właśnie tak może być wewnątrz kamienia.

Chciała usnąć. Przynajmniej na kilka chwil. Potem, gdy się obudzi, wszystko jedno. Niech będzie, co ma się dziać. Ale teraz jeszcze kwadrans snu.

— Przeżycie?

— Tak, Rose. Kiedy zasypiasz, rosną ci dodatkowe kończyny. Dosłownie jakbym spał z hinduskim

bóstwem. Całe wyro zajmujesz.

— Z tobą też nie jest jak na pikniku. Wąchałeś się?

Nie odpowiedział. Chwilę leżeli w milczeniu. On zwinięta w kłębek, wtulona w niego i siebie. Głupi odruch jeża po stracie kolców. On rozwalony na plecach, kreślący w powietrzu znaki myśliwskim nożem. Chwilowe czary z nienapisanej bajki. Nie licząc jarda przy oknie, w całym pokoju nawet ziarenka światła.

Następną wypowiedź zaczęli w tym samym czasie.

— Ty pierwsza — zawyrokował.

Nim zapytała, odpaliła kolejnego papierosa. Minuta kompletnej ciszy, być może dwie. Wciąż kreślił nożem symbole, gdy rozpoczęła.

— Zwykle, dlaczego, Wiwat? Dlaczego idziesz w to ze mną? Układ jest zdrowy bez twojego szczenięcego poświęcenia. Biorę i otrzymuję tyle samo. Jest po równo.

Poprosił ją o jednego. W tej całej ciemni paczka gdzieś się zgubiła, więc wsadziła mu do ust swojego. Zaciągnął się. Silny posmak truskawki wywołał kliszę z dzieciństwa. Pół sekundy.

— Po pierwsze, strzelasz jak pizda. Po drugie, źle. Po trzecie, mi wszystko jedno.

— Wiesz przecież, że to...

Nie pozwolił jej skończyć. Przyciągnął i nakrył, przygryzając wargi. Chwilę to trwało, a kiedy była gotowa, kiedy już chciała, pragnęła, ostatni raz... wyszarpał się z objęć, oświetlając ich oboje zapalniczką.

— Właśnie dlatego, Rose. Dla twojej twarzy. Dlatego, że nie ma na niej ani śladu wstrętu. Rozumiesz mnie?

Machnięcie głową było tylko dopełnieniem zaskoczonych oczu.

— Do tej pory, żeby zobaczyć taki wyraz twarzy, musiałem płacić. Dlatego dam ci za darmo coś, za co płacili mi inni. Możesz wtasować do swojej karcianej talii cały mój szal, Rose. Calusieńki. I tyle pierdolonej furii, ile mam.

Przytuliła się do jego klatki, pozwalając sobie na komfort zamknięcia oczu. Dziesięciosekundowe wychylenie głowy pół jarda za nawias świata. Dla niej bezgraniczne bezpieczeństwo. Dla kogoś z boku, ilustracja do beznadziejności. Podziękowała mu cichym pocałunkiem w szyję.

Czasem zwykły bandzior z nizin miasta pójdzie z tobą najdalej.

Piętnaście minut później byli prawie gotowi. On wciągał skórzaną kurtkę, ona wiązała płaskie, sportowe buty. Mężczyzna stał w kompletnej ciemności, przy samych drzwiach. Kobietę osrebrzało zaokienne światło. Oboje czuli nadchodzącą śmierć.

Jedno wiązanie na trzy.

Wejście do środka nie rzucało się w oczy. Z trzewi lokalu nie rozlegały się brzmienia głośnej muzyki. Przed wejściem próżno było oprzeć oko na jakimkolwiek motorze, które przed przybytkiem jak ten, powinny stać długim rzędem. Wielgachne okno szczelnie zasłaniała kotara z grubej tkaniny w ciemnym odcieniu brązu.

Przed drzwiami stał wielki, w kurwę włochaty czworobok, o włosach ściągniętych kitą i oczach w typie ropiejących gwiazd. Był niebezpiecznie opasły. Tak, że przy nagłym wdechu, mógłby kogoś poranić eksplozją guzików z rozerwanej koszuli. Bordowa marynarka leżała na nim obwisłe, zapewne po to, by móc uchować żelastwo przed wścibskim okiem przypadkowego przechodnia. Lufy jego beztępcowych

żrenic patrzyły na każdy ich ruch.

— Ja będę mówił — zdołał ogłosić Wiwat, kiedy przecięli szybkim krokiem udeptaną drogę. Ochroniarz odkleił się od muru, zdradzając nieadekwatny do swej kolosiej budowy refleks. Pstryknął niedopałkiem papierosa i bezceremonialnie poluzował marynarkę.

— U ciebie bilet?

Na byczym karku żyły jak słoje dębów. Niebieskie żyłki na kulfoniastym nosie oraz plamiaste dłonie. Szczęka w boksterskim stylu i mało przychyłne oczy. W sumie dobrze ubrany, ale brzydki tak, że własna ręka mogłaby brać od niego dychę za zwalenie konia.

— Tutaj nie ma biletów.

Głos zwyczajny. Dźwięczny, bardzo wyraźny, ale bez dodatkowych fajerwerków. Poniekąd rozczarowanie.

— Czyli wjazd jest za darmo? Jeszcze lepiej. Jakież dupy tu macie?

I wtedy kolos wystawił przed siebie rękę na pełną długość, mówiąc, żeby odeszli. To był dobry moment, by mu założyć dźwignię na staw łokciowy, gdyby jego łapa nie ważyła siedemdziesięciu funtów. Motocyklista nie zrealizował pomysłu, ale i się nie cofnął. Nastąpiła niepisana próba sił. Oczy przeciwko oczom. Rtęć spływająca ze spojrzeń i wzrastające z każdą chwilą ciśnienie. Skraplający się gniew prawdopodobnie do nabrania w butelkę.

— Przyszliśmy do Wilkołaka — przerwała ciszę kobieta. Była niska i przynajmniej trzykrotnie chudsza od tego domorosłego zakapiora, ale głos jej nie zadrżał. Być może w myśl akceptacji dotyczącej własnej śmiertelności. Kto wie? Ludzie są różni. Większość oczywiście panikuje, ale u niektórych, kiedy uzmysłowią sobie, że być może właśnie idą na śmierć, pojawia się absolutny wręcz spokój.

— Kto? — warknął tamten, skupiając na niej nienawistne spojrzenie. Widać było nawet pod ciemnym niebem, że ten doborowy okaz nie ma w zwyczaju okazywać przychylności czy choćby zdrowej na swój sposób obojętności. Po sposobie, w jaki patrzył, warczał, oceniał, śmiało można było założyć, że nie po drodze mu z karawaną ludzkości. A jeśli już musi, to zapisuje ją jako: ludz-kość, warcząc i nienawidząc, kogo tylko się da.

— Rose — odpowiedziała kobieta, przesadnie przy tym wzdychając. — Rose Chamberlain. Z Miho.

— Jeszcze mu, kurwa, kod pocztowy podaj. Wchodzimy z nim lub przez niego.

Olbrzym jej się przyjrzał. Nawet chyba obwąchał. Następnie tym samym warkliwym głosem rzucił, by zaczekali i zniknął wewnątrz lokalu.

Zostali sami.

— Wilkołak, Rose? Serio? Wiesz, tak się składa, że chwilowo chujowo trochę stoimy w srebrne kule.

Krótko strzyżona blondynka nie wyglądała w nastroju do wylapywania mało śmiesznych kawałów. Zrozumiał to, kiedy tylko obdarzyła go zalęknionym spojrzeniem bardzo niebieskich oczu. Chwilę później drzwi się otworzyły drugi raz i mogąca wkładać po dwa chleby do piekarnianego pieca dłoń, zaprosiła ich gestem do środka.

— Niech mnie wiedzie refren pieśni — westchnął Wiwat, wkraczając do niemal kompletnie nieoświetlonego pomieszczenia.

Rose Chamberlain z Miho podreptała w krok za nim.

Ochroniarz puścił ich przodem i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Chwilę zostali sami, jednak nie na tyle, by porażony nagłą zmianą wzrok zdołał się zbratać z ciemnością, tu i ówdzie tylko bezczeszczonej przez mikroskopijne płomienie porozstawianych na stolikach świec.

Przejęła ich wysoka, szczupła damulka w wielkich okularach i kaszmirowym, niemal białym swetrze. Niosła przed sobą świecę, a jej nieprzychylnie, acz wyuzdane spojrzenie, przywodziło na myśl kogoś, kto mógłby obciążać za odnowienie bibliotecznej karty.

Damulka nie była rozmowna. Nie zareagowała na Wiwatowe "siema". Otaksowała ich tylko spojrzeniem umalowanych oczu, a następnie odwróciła się i odeszła. Chcąc pozostać choćby na obrzeżach tej mikroskopijnej żółci bladej światła, ruszyli za nią gęsiego.

Po prawej, sądząc po odgłosach, ktoś komuś mocno dogadzał. Przechodząc, dostrzegli karła wszczępionego w normalną, ludzką kobietę. Następnie przystanęli przed szynkwasem, długim jak pas startowy i szerokości przynajmniej czterech stóp.

— Wiatr już owiał, że będziesz, mała Rossi.

Sądząc po stęknięciu, mężczyzna wstał. Następnie oświetlił żółtą, zwyczajną świecę, wpiersz przelotnie Wiwata, a potem, o wiele dłużej, Rose. Sam pozostawał cały czas poza źródłem światła, ale sądząc po ogromnej dłoni, postury był podobnej do ochroniarza.

— Przyszłam tylko po list. Daj mi go i wychodzę.

Chwila rwetesu, brzdęk szkła. Dźwięk odkręcanej butelki. Trzy wysokie szklanki do połowy wypełnione jasnobrazowym płynem.

— Wysłałem za tobą Archiego, ale nie wrócił. Wysłałem Chucqacoe. Zaginął również. Teraz ty przychodzisz tutaj sama. Stajesz w drzwiach. Wchodzisz. Pytasz o list.

Kobieta zdołała wyjawić, że głowa Archiego prawdopodobnie nadal znajduje się na sto piętnastej mili pustynnego słońca, kiedy Wiwat uniósł szklankę i stuknął nią kilka razy, dopraszając się zabrania głosu.

— Sprawy rodzinne — zawyrokował płynący z ciemności głos. Następnie mówiący po coś sięgnął i mamrocząc do siebie, wyłożył równo na blacie. — Tysiąc pięćset. Wypij, schowaj i wyjdź!

Wiwat pieniądze zabrał, ale ku drzwiom nie poszedł.

— A pytania? — rzucił.

— Pytania?

— Tak. Nie spytasz czy mam pytania?

Czuć było, że finałowa zagadka tej dziwnej gry jest coraz bliższa poznania albo, biorąc poprawkę na okoliczności, coraz bliższa wystawienia włochatego łba zza kotary. Rose chciała coś wtrącić, ale towarzysz zgromił ją wzrokiem i, mimo że na co dzień za nic miała supremację męskiego gatunku, tym jednym razem zamilkła.

— A powinienem? — zaciekawiał się barman, przenosząc źródło światła Wiwatowi pod brodę. — Powinienem zapytać?

Mężczyzna opróżnił szklankę, pokazując, że uważa rozwiązanie sprawy przy pomocy trucizny za tandetne. Stuknął szkłem cztery razy, odstawił i wytarł rękawem twarz. Kiedy jednak ostukiwał prawą dłonią blat szynku, lewa zdołała dobyć myśliwskiego Ka-Bara. Ostrze noża było długie i ciemne. Motocyklista swój nóż nazywał "filetownikiem", gdyż można było nabić na niego trzy i pół zająca.

— Nie wiem, czy powinienem — zaczął, biorąc drugą szklankę i wychylając jej zawartość na raz — ale ja mam pytania.

Stojący za ladą zatoczył świecę po ladzie dwie ósemki. Wiwat wziął trzecią szklankę, unosząc jak do toastu. Brakowało tylko wilkołaczego: "na zdrowie".

— Najpierw chciałem zapytać, dlaczego półtorej osoby pierdoli się na stoliku, ale to może poczekać. Chyba mi się coś innego przypomniało.

— Więc jak chcesz pytać, to szybko — rzucił tamten, ciągle bawiąc się bladym światłem. Nieheblowane, sękaty dechy szynku, pochłaniały większą część mocy zmarniałego płomienia, jednak odpryski przywodziły na myśl popożarowe cienie dawno spalonych dusz. Tamten zabębnił palcami, dając wymóg pośpiechu, do dalszej gry. — Pytaj i wypierdalaj! — dodał.

Motocyklista, ciągle trzymając szklaneczkę przed twarzą, odwrócił się w stronę Rose.

— Czy to twój ojciec? — spytał.

Nim zdołała wyartykułować odpowiedź, ujrzał wszystko w jej oczach, więc jak rzucała, że chyba go pojebało, znów stał do tyłu przodem.

— Jedno pytanie miałem do niej, Wilkołaku. Odpowiedziała mi. Teraz mam drugie, do ciebie. Jesteś na nie gotowy?

Miał odpowiedzieć, tamten przysunął świecę pod własną, bardziej niż gęstą brodę w irlandzkim odzieniu czerwieni. Wielkie pasy, równie krwistoczerwonych bokobrodów łączyły się z bujnym owłosieniem w takim samym kolorze. Twarz kostropata z zuchwą wysuniętą niczym niedomknięta półka i małym, orlim nosem. Pokryte bruzdami czoło i żółte, trójkątne oczy. Widok kogoś, komu mogłyby się nawet nie zatrząść kolana, gdyby stał pięćdziesiąt jardów od wybuchu kasetowej bomby.

— A ty? — rzucił zza szynku. — Chcesz iść ze mną przez majestat grani?

Wiwat przechylił szklanekę, ale jej nie odłożył. Zapiekło w gardle w tak dobrze już znany sposób. Pewność co do obecności Rose, mógł mieć jedynie przez jej głośny oddech.

— Już trochę mnie wkurwiasz, Wilkołaku. I nie jesteś w tym pierwszy.

— Czyżby?

— Tak. Ostatnio też mnie taki jeden wkurwiał. W Tuskom. Zapamiętałem go, bo tak się jakoś składało, że gość mieszkał na przeciwko jebanego cmentarza. Rozumiesz mnie?

— I co?

— No i teraz mieszka naprzeciwko domu, Wilkołaku. Z doskonałym widokiem na swój zajebany ogródek, o który ciągle rozdzierał ze mną koty. Ale ty nie chcesz mieszkać po drugiej stronie szynkwasu, prawda? Pytam, ponieważ niektórzy nie umieją dobrze czegoś pojąć, jeśli na to nie krwawią.

Tamten wyjął zza pazuchy, pożółkły kawał wygniecionego papieru i położył na półce. Świecę postawił pomiędzy nimi na ladzie.

— Świat dziś pędzi w śmierć. Miłuje bliźniego mordercę. W mieście, gdzie Kain zabija Abła każdego dnia tylko poznanie śmierci może mieć jeszcze sens. Poznaj więc ją. Włóż w nią ręce. Niech rtęć opada w ustach gnijącego dnia.

— Ni chuja nie zrozumiałem — odrzekł Wiwat. — Chyba za trudny przekaz dla zwykłego wykidajły z Tuskom.

— Uproszczę — warknął tamten, pozostając na granicy światła. — Chcesz, to przyjdź.

— Byłem we wnętrzu góry, Wilkołaku. Słyszałem z piekieł aplauz. Nie ty jeden radzisz sobie w ciemności.

Barmani bandzior znów się szykował do odpowiedzi, ale Wiwat przyduśił świecę ciągle trzymaną szklanką. Następnie Rose usłyszała nagły ruch, skrzypnięcie desek i kilka przeciągłych stęknęć. Zakapior wrócił, wręczając jej kopertę.

— Tak się dzieje przy zderzeniu furii z pomysłem na słomianą nieśmiertelność — wydusił nieco zziązany. — Spierdalajmy stąd.

Ruszyli pędem do wyjścia, kątem oka dostrzegając przypatrującą im się laskę w okularach. Kontrast jej ładnej twarzy zachwiany został przez dwa rzędy drobnych, szpiczastych ząbków. Szczeka nieco wy-

chylona, podłużna i zakrwawione, aż po łokcie ręce. Rzut oka tylko przelotny, ale wystarczający jako materiał na obszczenie motelowego łóżka.

— Rose!

Zatrzymała się, odwróciła i spojrzała. Przy samych drzwiach. Wiwat popatrzył również i... wizja laluni wpychającej sobie do gęby czyjeś jelita straciła na okropności.

— Co to, kurwa mać, jest?

— Moi rodzice — odpowiedziała szeptem. — To są moi rodzice.

Motocyklista przypatrzył się jeszcze raz, po raz pierwszy szczerze się ciesząc z niemal kompletnej ciemności. Jednak same kontury...

— Kurwa — wydusił — a więc to jest szczep, któremu zawdzięczamy to jabłuszko?

Wyższa ze stojących istot znów zawołała z imienia. Niższa, bardziej "kobieca", dodała, że Rose może zostać.

Kobieta zawahała się chwilę. Potem chwyciła za klamkę. Błady chłód nocy wlał się półkolem do środka.

Wyszli.

Na zewnątrz nikt nie pilnował.

Nazajutrz, sto trzydzieści mil dalej, kiedy skończyli nasłuchiwać, jak deszcz biczuje deski werandy w domu, gdzie nocowali, Wiwat sto osiemdziesiąty czwarty raz spytał o treść dokumentu. Zagroził przy tym, że jeśli mu w końcu nie powie, to on to pierdoli i niech laska radzi sobie sama.

Nie, żeby wcześniej nie groził, ale tym akurat razem podziałało. Rose bez słowa wręczyła mu kopertę, a sama wyszła na deszcz.

Nie zrobiła nawet kilku pierwszych kroków, kiedy usłyszała całą masę naprawdę paskudnych słów.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Canulas, dodano 24.02.2018 18:24

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).